

Niewiarygodne, a jednak

Ayahuasca bez cenzury i uprzedzeń

Z dr. Jacques'em Mabitem – dyrektorem kliniki „Takiwasi” w Tarapoto, rozmawia Roman Warszawski

Korespondencja własna z Peru

– „Takiwasi” jest w tej chwili wiodącą kliniką, leczącą narkomanów i alkoholików za pomocą roślinnych środków z Amazonii. W jakich okolicznościach doszło do jej założenia?

– To długa historia, momentami taka, w którą trudno uwierzyć. Ośrodek istnieje już piętnaście lat, od 1989 roku. Mamy spore sukcesy na swoim koncie, ale jednocześnie ośrodek nie może się rozrastać, ponieważ stosowana przez nas metoda bardziej przypomina sposób pracy manufaktury niż fabryki. W danym momencie możemy zajmować się stosunkowo niewielką grupą pacjentów, a terapia jest długotrwała, ponieważ – by była skuteczna – musi trwać około 9 miesięcy. Są to pewne nieprzekraczalne ograniczenia. Innym czynnikiem ograniczającym skalę, w jakiej działamy, jest cena. Ośrodek musi funkcjonować jako całość, a jednocześnie – z uwagi na swą specyfikę – jest w stanie przyjąć małą ilość pensjonariuszy. Przez to cena, jaką pacjenci płacą za pobyt u nas, jest stosunkowo wysoka i wynosi około tysiąca euro miesięcznie. Nie każdy może sobie sobie pozwolić na taki wydatek.

– Zaczął pan od strony mniej optymistycznej. W sumie jednak ośrodek ma sukcesy, i to niebagatelne. Efektywność leczenia narkomanów jest u was bardzo wysoka – praktycznie najwyższa na świecie. Leczenie średnio 70 proc. chorych, którzy do was trafiają, z czego przeszło połowę trwale; pozostała połowa wraca do zdrowia po drugim pobycie w „Takiwasi”.

– Rzeczywiście, jesteśmy skuteczni. Uważamy jednak, że możemy być jeszcze bardziej efektywni.

– Kogo leczycie?

– Koncentrujemy się na leczeniu i wyprowadzaniu z nałogu narkomanów. Stosując amazońskie rośliny lecznicze – znając ich skuteczność – moglibyśmy leczyć też inne przypadłości, lecz – w związku z tym, że narkomanami praktycznie nikt się nie zajmuje – skoncentrowaliśmy się właśnie na tej grupie. Oprócz tego interesują nas alkoholicy, ponieważ metody wyprowadzania ich z nałogu są dość podobne.

– Leczenie nowotworów nigdy was nie kusiło?

– Robimy to, lecz sporadycznie. Niekiedy jest bowiem tak, iż narkomani, którzy do nas trafiają, cierpią jednocześnie na chorobę nowotworową. Wtedy musimy postępować dwutorowo. Nieraz, w parze z narkomanią, pojawia się wirusowe zapalenie wątroby. Na polu jego leczenia też mamy spore sukcesy.

– Jakie rośliny stosujecie w leczeniu schorzeń innych niż uzależnienia?

– Jesteśmy zwolennikami roślin, które od wielu lat są w użyciu posiadają usystematyzowane doświadczenia kliniczne. Mam na myśli takie środki, jak *Uña de gato* zwana vilcacorą, *chuchuhuasi*, *zarzaparilla*, *sangre de drago*, czy *aceite de copaiba*.

– Jak pan ocenia ich skuteczność?

– Bardzo wysoko.

– Wielu lekarzy w Europie do stosowania preparatów roślinnych, które pan wymienił, podchodzi nadal bardzo nieufnie. Z czego wynika?

– To oczywiste – z niewiedzy, z niechęci poznania czegoś, co wykracza poza podstawowy

program studiów. To, iż te środki okazują się zbawienne dla pacjentów, dla wielu lekarzy – paradoksalnie – nie ma, niestety, większego znaczenia.

– Ataki następują też z innej strony. Skrajni zwolennicy naturalnych preparatów leczniczych niekiedy podają w wątpliwość to, czy środki roślinne zamknięte w kapsułkach nadal posiadają odpowiednią siłę leczniczą...

– Znam ten problem. Często biorę udział w dyskusji na ten temat. W moim przekonaniu jednak – mimo że w Tarapoto sami stosujemy wyłącznie preparaty w postaci naturalnej – doskonale rozumiemy, iż jeśli te środki mają iść w świat, nie możemy do aptek kierować nieprzetworzonych korzeni czy skrawków kory. To byłby absurd! Byłoby to skazanie ich na niebyt i wykluczenie z rynku! My natomiast uważamy, że są to środki na tyle skuteczne i ważne, że powinno się je stosować jak najszerzej. Standaryzacja i zamykanie tych leków w kapsułkach jest czymś nieuniknionym. Jest ceną, jaką trzeba zapłacić za ich powszechną dostępność.

– Mówi pan, że często w innych częściach świata amazońskie preparaty roślinne są nieznane i przez to budzą nieufność lekarzy. To samo musi dotyczyć ayahuaski – pnącza, które jest pańskim głównym orężem w walce o zdrowie narkomanów i alkoholików.

– Rzeczywiście jest tak, jak pan mówi; tym bardziej iż ayahuaska jest środkiem bardzo silnym. Kontrowersje, jakie ona budzi, są proporcjonalne do jej siły, skuteczności i... braku wiedzy na jej temat!

– Pan jednak jakoś potrafił otworzyć się na możliwości tkwiące w tych roślinach – mimo że jest pan lekarzem o wykształceniu ściśle akademickim i – o ile mi wiadomo – miał pan skłonności do pracy naukowej.

– To, co teraz robię, też ma charakter naukowy. Moja działalność mieści się w akademickim nurcie, który z jednej strony wyznacza słynny psychiatra czeskiego pochodzenia Stanislav Grof, który wstawił się pracami o leczniczym działaniu LSD, z drugiej – prace chińskiego uczonego z Uniwersytetu w Lund – Yezhou Shenga, czołowego badacza *Uncaria tomentosa*. Faktem jest jednak, iż droga, którą od lat podążam, jest wielce nietypowa. To dzięki jej specyfice bez trudu przyjąłem do wiadomości to, co dla wielu moich kolegów po fachu jest trudne lub wręcz niemożliwe do zaakceptowania.

– Na czym polega owa specyfika?

– Choćby na tym, że urodziłem się w Nowej Kaledonii i od dzieciństwa miałem bezpośredni kontakt z pozaeuropejskimi realiami. Następnie to, iż – już po studiach – jako aktywny członek organizacji „Lekarze bez Granic” przez wiele lat pracowałem w wielu różnych krajach, od Etiopii po Bangladesz. Tam często miałem kontakt z medycyną ludową i na własne oczy przekonywałem się o jej wartości i skuteczności.

– Był jakiś szczególnie istotny moment w czasie tych pańskich medycznych peregrynacji po całym świecie?

– Taką chwilą była moja wizyta w aśramie Matki Teresy w Kalkucie. To, co tam zobaczyłem, zrobiło na mnie ogromne wrażenie nie pozbawione pewnego mistycznego podkładu. Bez tej wizyty na pewno nie byłoby „Takiwasi” w jego obecnym kształcie.

– Wzorował się pan na Matce Teresie?

– Nie, ponieważ to, co robimy w Tarapoto, jest dość odległe, od tego, co dzieje się w Kalkucie. Jednak budując „Takiwasi”, cały czas w pamięci miałem to, co widziałem w Indiach.

– Na wstępie powiedział pan, że droga, która doprowadziła pana do „Takiwasi” często była zadziwiająca, czy wręcz niewiarygodna. Co miał pan na myśli?

– Przede wszystkim to, że cały czas coś pchało mnie w tym samym kierunku i nie pozwalało zejść z dość nieświadomie obranego przeze mnie szlaku. Gdy przybyłem do Peru, chciałem poświęcić się studiom porównawczym nad szamanizmem tutejszego wybrzeża, Andów i selwy.

Jednak, gdy przyleciałem do Tarapoto, poczułem się tak, jakbym po długiej, bardzo długiej podróży wreszcie przybył do domu. Momentalnie zrozumiałem, że to jest moje miejsce – miejsce, które na mnie od dawna czeka i że muszę tu pozostać.

– **I pozostał pan...**

– Jak widać. Wbrew moim poprzednim planom nie pojechałem ani do Cajamarki, ani do Piury, gdzie zamierzałem prowadzić badania. Zamiast tego, zacząłem budować „Takiwasi”.

– **Od razu?**

– Nie, to nieco potrwało. Najpierw musiałem przebudować sam siebie. Przez trzy lata terminowałem u miejscowych szamanów. A gdy już mi się wydawało, iż wiem wszystko, co powinienem, w czasie jednej sesji picia wywaru ayahuaski dowiedziałem się, że muszę jeszcze uczyć się przez następne tysiąc dni...

– **Kto panu o tym powiedział?**

– Duchy selwy.

– **Kto taki?**

– Duchy selwy. Albo – jeśli pan woli – jakiś wewnętrzny głos, ale taki głos, który na pewno nie był moim własnym głosem.

– **Więc czym?**

– Mówiłem już, że na drodze, która doprowadziła mnie do „Takiwasi” sporo było rzeczy wręcz niewiarygodnych. To była właśnie jedna z takich niebywałych chwil. Proszę sobie wyobrazić, że pijąc wywar z ayahuaski, nagle odniosłem wrażenie, że znalazłem się przed dwunastoosobowym trybunałem, który zalecił mi zgłębianie tajników tej rośliny przez następne trzy lata...

– **To znaczy – miał pan wizję, że znalazł się pan przed takim gremium?**

– Tak – ale była to wizja na tyle realna, że to, co ujrzałem i usłyszałem, potraktowałem nadzwyczaj poważnie.

– **Chyba zdaje pan sobie sprawę, że składanie tego rodzaju deklaracji, w oczach wielu ludzi może narazić na szwank pańską wiarygodność...**

– Ale z drugiej strony ayahuaska jest rośliną tak tajemniczą, iż – by uchylić choć rąbek jej sekretu – należy analizować zachodzące pod jej wpływem zdarzenia w takiej postaci, w jakiej do nich dochodzi: bez cenzury i bez uprzedzeń.

– **Na czym – pańskim zdaniem – polega tajemnica tej rośliny i uzyskiwanego z niej wywaru?**

– Szczerze mówiąc – jeszcze do końca nie wiem. Ayahuaska i zawarte w niej substancje na pewno podnoszą sprawność naszego umysłu i go wyostrzają. Poza tym – jeśli wywar podawany jest zgodnie z pewnymi kanonami – ułatwia wyjście z nałogu narkomanom i alkoholikom. To sprawa bezsporna. Spierać się można jedynie o mechanizm, za którego pomocą do tego dochodzi.

– **Jak pan sobie tłumaczy owo dobroczynne działanie ayahuaski?**

– Wywar z ayahuaski wywołuje silne wizje i jest źródłem licznych mistycznych doznań. Jednocześnie nie powoduje przyzwyczajenia, nie uzależnia. Skutkuje to tym, że silniejszy impuls wypiera z pamięci osoby uzależnionej doznania znane jej z transu narkotycznego. Po pewnym czasie zostają one całkowicie przesłonięte i chory – nie czując narkotycznego głodu – krok po kroku może zacząć powracać do zdrowia, do normalnego życia.

– **A w miejsce głodu narkotycznego, nie pojawia się głód ayahuaskowy?**

– Nie, bo takie zjawisko po prostu nie istnieje. Tak jak powiedziałem – i mogę to powtarzać do znudzenia: ayahuaska nie powoduje przyzwyczajenia.

– **W sumie więc mechanizm leczenia narkomanów w „Takiwasi” jest dość prosty.**

– Pozornie. Bo najpierw – by metoda poskutkowała – należy dokonać odpowiedniego oczyszczenia organizmu z narkotycznych toksyn, następnie trzeba dbać o to, by pacjent nie pogubił

się pośród ayahuaskowych wizji. W tym celu trzeba przestrzegać pewnego rytuału, który dla lezonego jest czymś w rodzaju nici Ariadny: gwarantuje bezpieczny powrót z gąszczu doznań i doświadczeń.

– **Jak pan wspominał – metoda, mimo swej skuteczności, ma pewne ograniczenia.**

– Przede wszystkim ilościowe. W jednym ośrodku nie sposób jednocześnie leczyć zbyt dużej ilości pacjentów. By nasza metoda była skuteczna, konieczna jest pewna kameralność, intymność. Jedynym wyjściem jest tworzenie wielu takich ośrodków jak „Takiwasi” – wielu małych centrów. Ważny jest też kontekst kulturowy. Uważam, że przyjmowanie ayahuaski nawet pod okiem najbardziej doświadczonego szamana w Paryżu, nie jest tym samym, czym picie takiego wywaru w sercu dżungli, w Tarapoto. Podróż osoby uzależnionej z Europy nad Amazonkę jest pierwszą fazą uzdrawiającej kuracji. Bez niej leczenie nie jest już tym samym.

– **Czyli – to, co pan robi, musi, z uwagi na specyfikę metody, pozostać zjawiskiem niszowym?**

– W pewnym sensie tak. Ale narkomania i alkoholizm, na szczęście, też są zjawiskami o ograniczonym zasięgu. Ważne, by obie nisze – nisza nałogu i nisza wyciągająca z niego – pozostawały w sensownej relacji do siebie.

Niszowe jednak nie muszą i nie powinny pozostawać inne preparaty lecznicze z Amazonii i z Andów. Skuteczność ayahuaski w konfrontacji z narkotycznym nałogiem może być kolejnym argumentem przemawiającym za poważnym pochyleniem się przez sceptyków nad pozostałymi preparatami roślinnymi pochodzącymi z Ameryki Południowej. Osobiście pragnę, by stawało się ono coraz silniejsze.

*Z dr. Jacques'em Mabitem
rozmawiał Roman Warszawski*